

My, czwarty stan Kościoła

Z siostrą Jolantą Olech USJK rozmawia Katarzyna Kolska

Czyją siostra jest siostrą?

Na pewno jestem siostrą mojej rodzonej siostry, z którą łączą mnie więzy krwi.

Po drugie, jestem siostrą kobiet we wspólnocie, do której należę, a „zgrupowała nas tu – o czym przypominamy sobie codziennie podczas wieczornej modlitwy – miłość Chrystusa”. To jest bardzo silny rodzaj więzów.

Jestem też siostrą wielu ludzi, z którymi życie mnie w różny sposób powiązało. Oczywiście są to już inne więzy – przyjaźni, pomocy, dogadywania się w jakichś sprawach, a czasem niedogadywania się.

Czym jest wspólnota, w której siostra żyje?

Wszystkie wspólnoty życia zakonnego, nie tylko moja czy ta z sąsiedniej ulicy, powstawały po to, żeby „iść za Chrystusem drogą rad ewangelicznych” – jak mówią dokumenty Kościoła, wprowadzać w życie i przeżywać razem wartości wypływające z Ewangelii. To nie my wybieramy wspólnotę, tylko wybiera nas Pan Bóg. Ciągłe przypomina nam o tym Ewangelia. „Nie wyście Mnie wybrali, ale ja was wybrałem i posłałem”. Jesteśmy tutaj, bo Pan Bóg nas powołał do swej służby i do tej konkretnej wspólnoty.

Dlaczego siostry nie mówią do siebie po imieniu tylko „per” siostrzo?

Jest to tradycja, która idzie przez wieki. W klasztorze w pewnych rzeczach jesteśmy o jakieś pokolenie do tyłu i trudno nam się rozstać z niektórymi przyzwyczajeniami. Ale w naszych zgromadzeniach już od wielu lat siostry zwracają się do siebie po imieniu.

To chyba lepsze niż taki sztuczny dystans.

Z całą pewnością. Choć do dzisiaj są wspólnoty, które mówią do siebie „wasza miłość”, bo tak ustanowił założyciel. Czy im to przeszkadza w siostrzaności? Nie wiem. To jednak pokazuje, jak trudno zmienić pewne zwyczaje.

Jak na przykład to, żeby idąc na wycieczkę w góry, pozbyć się habitu?

Z tym pozbyciem się habitu to trochę przesada. Pani jest kobietą, widzę, że elegancką. Niech pani sobie wyobrazi, że rano ma pani wystąpić w habicie, a w południe już w stroju świeckim. Dla kobiety to nie jest takie łatwe. Łatwa jest zmiana dla księdza, bo wsadzi habit czy sutannę do szafy i już może być uważany za pana, bardziej czy mniej eleganckiego. My jednak

musimy zadbać czy to o włosy, czy o strój. Dochodzą do tego też względy finansowe. Poza tym, gdy trzeba, to zdejmujemy habit. Tylko nie trąbimy o tym na prawo i lewo. Bo i po co? Nasza założycielka św. Urszula Ledóchowska w pierwszych Konstytucjach w 1923 roku zapisała możliwość chodzenia w stroju świeckim ze względów apostolskich. Dziś te powody są liczniejsze, ale czy możliwość chodzenia po świecku to koronny dowód na nowoczesność? Nie chcę nikogo gorszyć, ale kiedy urszulanki w Pniewach kupiły posiadłość, gdzie powstał nasz pierwszy dom w Polsce, to do tej posiadłości należało jezioro, które dziś jest już własnością miasta. I siostry w latach dwudziestych XX wieku się w tym jeziorze kąpały. Wyobrażam sobie, jakie piękne były te kostiumy kąpielowe. Ale były. I nikomu nie przychodziło do głowy, żeby oskarżać siostry o to, że są niemoralne czy że są rewolucjonistkami, bo zdjęły habit i poszły się kąpać. Teraz już trudno do tego jeziora chodzić, bo po pierwsze jest potwornie brudne, a po drugie dla ludzi byłaby to sensacja. Zapewniam panią, że siostry, które chcą i potrzebują, chodzą na basen, często jeżdżą na wypoczynek nad morze i w góry.

Jadą po cywilnemu?

Oczywiście, że tak. Może są jakieś wspólnoty i zgromadzenia, które jeszcze do dzisiaj nie zdobyły się na taką „rewolucję”, ale to chyba wyjątki. Przyznam jednak, że nie mogę zrozumieć wypowiedzi pewnych osób, które uważają, że zdjęcie habitu to wielka rewolucja i podkreślają to jako znak reformy i postępu w zakonach męskich...

Z czego wynika ta niechęć do rezygnacji z pewnych tradycji?

Jesteśmy bardzo zróżnicowanymi wspólnotami, w których żyją osoby od mających blisko 100 lat, po takie, które mają dwadzieścia parę. W takich wspólnotach zawsze trudniej odejść od pewnych zwyczajów na rzecz nowych, bo albo wydają się pewnym zagrożeniem, albo brakiem dobrego wychowania, albo jeszcze czymś innym.

Po drugie, we wspólnotach, które istnieją od wielu lat pewne zwyczaje regulujące życie się sprawdziły. I może to jest nasz lęk, żeby zrezygnować z tego, cośmy znały, co nam służyło, na rzecz nowości, o których nie wiemy, czy się sprawdzą. Ale życie jest silniejsze od naszych lęków i nowe pokolenia wnoszą do wspólnoty swój punkt widzenia, a często swój styl życia. I dobrze. Często mówię, że bez ryzyka nie da się twórczo przeżyć życia. Dlatego nie jestem za tym, żeby konserwować wszystko, co było, a do nowego odwracać się plecami.

A dlaczego zakonnicy sobie z tym poradzili?

A pani jest pewna, że sobie poradzili?

Zakonnice są w moim przekonaniu w Kościele dziewczynkami do bicia. Na podstawie kilku, kilkunastu, a może kilkudziesięciu złych doświadczeń uogólnia się i tworzy obraz infantylnej, niedouczzonej bidulki, zastraszonej przez złe przełożone... Jest nas w Polsce dwadzieścia tysięcy. A kto i kiedy miał możliwość poznania, jakie są i jak naprawdę żyją zakonnice?

Nikt nie ma, bo siostry nie chcą o tym mówić. Trudno umówić się z siostrami na rozmowę.

Nie mamy zaufania do mediów, chyba nie bez powodów.

Czy zakony, w tym wspólnota, w której siostra żyje, przeszły jakąś reformę? Świat pędzi do przodu. To, co proponowano dziewczętom, kiedy siostra wstępowała do zakonu, wygląda już chyba inaczej.

Zacznijmy od końca. Kiedy wstępowałam do zakonu, nikt mi niczego nie proponował i niczego mi nie obiecywał. Miałam 27 lat i pracę, która bardzo mi odpowiadała. Nagle, nawet nie wiem, jak to się stało, wiedziałam, że muszę z tego zrezygnować i pójść do klasztoru. Oczywiście ilekroć mnie ktoś pyta, dlaczego wstąpiłam, odpowiadam, że nie wiem. Gdybym miała wybierać wśród różnych ludzi, kogo wciągnąć do klasztoru, to siebie bym na pewno nie wybrała. Jeżeli Pan Bóg chce kogoś mieć w klasztorze i rzeczywiście jest to autentyczne powołanie, to będzie miał. Ten autentyzm powołania sprawdza się poprzez trwanie w tym, co wybraliśmy i ślubowaliśmy Panu Bogu. Bo śluby są podporządkowaniem życia, całej egzystencji Panu Bogu. Nie przełożonym, nie współbraciom, nie mądrzejszym, nie głupszym, tylko Panu Bogu.

Co do reformy. Nieprawdą jest, że zakony żeńskie w Polsce takiej reformy nie przeszły. Przeszły i to dość solidną. Ta reforma zaczęła się już w trakcie Soboru Watykańskiego II. Chociaż kierunki i punkty dojścia były inne niż w środowiskach Europy Zachodniej i Ameryki. No i każde zgromadzenie szło pewnie swoją drogą, ale kierunki wskazane przez Kościół były takie same.

Czym więc przyciągnąć młode dziewczyny do życia w świecie, który za światem trochę nie nadąża?

A czy życie zakonne musi nadążać za światem? W czym?

Pewnie nie musi. Ale powtórzę pytanie: Czym zachęcić młode kobiety, żeby wybrały właśnie taki styl życia?

Odpowiem zdaniem, które pani uzna pewnie za frazes – ewangelicznym życiem, które mówi

o tym, że Osoba Chrystusa i sprawy Boże są najważniejsze. W Dziejach Apostolskich mamy dwie syntezy mówiące o wspólnotach pierwszych chrześcijan.

Że żyli razem i wszystko mieli wspólne.

No właśnie. Jedno serce, jeden duch, jedna modlitwa. My się odwołujemy do tego jako do paradygmatu wspólnoty ewangelicznej. Jakie zdanie jest na końcu każdej z tych dwóch syntez? „A Pan Bóg przymnażał im ludzi”. Nie dlatego, że oni chcieli być atrakcyjni, tańczyć, śpiewać, opowiadać, przebierać się czy robić nadzwyczajne rzeczy. Czynili cuda, ale to miało inny wymiar. Natomiast świadectwo ich życia, autentyczność tego życia, jego dynamizm, sprawiały, że ludzie do nich przychodzili. I to nie z akcji powołańowych, tylko pociągnięci świadectwem.

To dlaczego teraz nie przychodzą?

No właśnie. To jest pytanie, na które ja nie mam odpowiedzi, a myślę, że pani też nie.

Ale jakiejś odpowiedzi pewnie sobie udzielacie.

Staramy się. Często o tym rozmawiamy. Niestety klimat dla powołań nie jest korzystny. Tu od razu powiem rzecz, którą powinna pani napisać. Obraz zakonnic w umysłach naszych braci księży/zakonników jest porażający. Nie dotyczy to na pewno wszystkich, sama znam wielu wspaniałych kapłanów. Ale są i tacy, którzy pracują z młodzieżą, prowadzą duszpasterstwa młodzieżowe, do których należą także dziewczęta. I nie sądzę, żeby nie dzielili się z nimi obrazem zakonnicy, jaki sami mają. Nie mamy zbyt wielu sojuszników wśród księży w sprawie powołań. Nie chodzi o to, żeby za kogoś podjąć decyzję. Ale o doradzenie dziewczynie, która chciałaby żyć życiem zakonnym, powiedzenie jej: Przynajmniej spróbuj. Bardzo często jest tak, i wiemy to od siostr, które do nas przychodziły, że słyszą: Zwariowałaś? Do zakonu? Opinia, którą nam robią tacy księża, jest trudna i bolesna dla nas. I to się też przekłada na nasze wzajemne relacje.

No właśnie. Nie najlepiej was księża traktują. Dlaczego na to pozwalacie?

Wszyscy jesteśmy wychowywani, a zakonnicę w sposób szczególny, do tego, że kapłan to jest *alter Christi* [drugi Jezus – przyp. red.]. Ja, idąc do spowiedzi, niosę całą swoją biedę, wszystkie moje niedojrzałości, wszystkie moje braki i rozsypane sprawy do Chrystusa. Nie do takiego czy innego księdza. Niosę je do Chrystusa, z zaufaniem i przekonaniem, że On to weźmie ode mnie i swoją łaską, jeżeli nie uzdrowi mnie od razu, to mi pomoże. Podobnie rzecz się ma, jeżeli chodzi o kierownictwo duchowe. Jeżeli decyduję się na korzystanie z

kierownictwa duchowego, z takich czy z innych powodów, to też idę z całym zaufaniem do tego człowieka, wiedząc, że on ze swoją łaską kapłańską i ze swoją mądrością człowieka, który już jakiś etap przeżył w tym życiu, zechce mi pomóc. I co się potem dzieje? Ten kierownik duchowy czy spowiednik z tego, co ode mnie słyszy, czyni uogólnienia, które kompiluje i dzieli się nimi na przykład w książce pani Marty Abramowicz [*Zakonnice odchodzą po cichu* – przyp. red.], w rozmowach prywatnych czy na Facebooku.

Może stoi za tym jakaś troska o was?

Jaka troska?! Przecież to jest bardzo krzywdzące uogólnienie. Bo nawet jeżeli takich przypadków, jak te, na które powołują się zakonnicy we wspomnianej książce, jest sporo, to na jakiej podstawie i w oparciu o jakie doświadczenie, o jakie badania uogólniają to na wszystkich? Znam wielu wspaniałych duchownych, ale muszę pani powiedzieć, że w moim życiu spotkałam też sporą grupę księży, głównie zakonników, których szanuję dlatego, że należy szanować kapłana, ale po ludzku wielu z nich to dorastające chłopaczki zapatrzone w siebie, w swoje potrzeby i w swoją wielkość. Tylko kto mnie upoważnia do tego, żeby pisać gdziekolwiek, że wszyscy zakonnicy/księża są tacy.

Dlaczego więc nie uderzycie pięścią w stół?

Przed kim?

Przed tymi mężczyznami.

Oczywiście jakoś się bronimy, ale czy to zmieni w radykalny sposób tę sytuację? Wątpię. W gruncie rzeczy chodzi o formację, o wychowanie. Kiedy byłam młoda, miałam pretensje, że niektórzy księża traktują nas jak czwarty stan kościelny.

Może musicie krzyczeć głośno? Szacunku trzeba się domagać.

Powiem pani tak: to wy, kobiety, zaczniście walczyć o to dla nas, ale i dla siebie. Ogromnie ważny dla przyszłości Kościoła jest problem miejsca w nim kobiety przekładający się na konkret.

Rozmawiacie o tym między sobą?

Oczywiście, że rozmawiamy. Mówimy o godności kobiety konsekrowanej. Na tę godność składa się to, że ja nie tylko sama nie robię pewnych rzeczy, które by zaprzeczały tej godności, ale również nie pozwalam na to, żeby inni mnie traktowali jak kogoś, komu można drzwi zatrzaskać przed nosem.

Porozmawiajmy o wspólnocie. Czy zakon jest miejscem, w którym siostra może rozwijać swoje talenty, swoją indywidualność?

Oczywiście. Myślę, że w dużej mierze zależy to od nas samych. Jest nas, lekko licząc, około dwadzieścia tysięcy. To ogromna rzesza. Wśród tych dwudziestu tysięcy na pewno są osoby bardzo dojrzałe, świadome siebie, wiedzące, jaki jest ich cel, jakimi drogami ku temu iść, z poczuciem własnej tożsamości i godności, świadome, że nie przeżyje się życia bez pokonywania trudności i bez osobistego zaangażowania. Są też kobiety święte – to chcę wyraźnie powiedzieć. Ale są również takie, które przez całe życie nie wiedzą, co mają ze sobą zrobić. Słabe osobowości. Nieustannie wojują ze swoim życiem, nieustannie się czegoś boją czy czegoś nie są pewne, chciałyby mamusię, tatusia i jeszcze kilka innych podpórek. Ale i dla nich jest miejsce we wspólnocie.

Czyli jest im wygodnie, że ktoś kieruje ich życiem, tak?

Pewnie tak, a jednocześnie będą się skarżyły, że przełożona im coś każe. Jest też dziś moda na to, że trzeba trochę ponarzekać na niektóre przełożone. Niewątpliwie bywają przełożone niedorastające do swych zadań, czasem niedobre.

W jakimś sensie człowiek sam decyduje o swoim życiu i za nie odpowiada – czy ono będzie ciągle oglądaniem się na to, czy mi pozwolą, pomogą i jak mi to załatwią, czy mi dadzą czas, czy po prostu będzie życiem, które człowiek chce przeżyć możliwie w pełni. Oczywiście, że zawsze trzeba to uzgodnić z zadaniami wspólnoty i z przełożonymi. Ale to nie jest tak, że ja nie mam możliwości rozwoju. Poza tym wiele sióstr, które wstępują do klasztoru doświadczyło dorosłego życia, są po studiach, pracowały zawodowo. To nie są głupie gąski.

To skąd się bierze mit głupich gąsek?

Po części z rewelacji naszych kierowników duchowych i spowiedników. Na pewno to, co się dzieje, jest dla nas nauką, żeby na naszych partnerów w konsekracji popatrzeć w sposób bardziej krytyczny. No i być w swych problemach bardziej świadomym odpowiedzialności za własne życie i za to, z czym i do kogo idziemy. Ostatecznie spowiedź jest spowiedzią. Często te siostry, które tam poszły płakać nad swoim nieszczęściem, nie zdawały sobie sprawy z tego, że to, co robią, robią nie tylko przeciwko sobie, ale przeciwko nam wszystkim. A poza tym naprawdę nie wiem, skąd się ta czarna legenda bierze. Patrząc na te kilka tysięcy sióstr kompetentnych i zaangażowanych w różne dzieła, prowadzących szkoły, przedszkola, często skomplikowane domy dziecka, pomagających ludziom duchowo, pracujących na uczelniach,

bo tych też jest już coraz więcej.

Kilka nazwisk można by wymienić: siostra Barbara Chyrowicz, profesor na KUL-u, bibliстка siostra Judyta Pudelko...

Na uczelniach jest ich siedemdziesiąt kilka.

Mało?

Czy za mało, czy za dużo, to tego bym nie chciała i nie zamierzała rozważać, dlatego że my nie przychodzimy do klasztoru, żeby robić karierę naukową. Poza tym uczelnie, szczególnie katolickie, to zamknięty system.

Wróćmy do życia we wspólnocie. Czy nie ma siostra wrażenia, że w zakonach żeńskich jest mało zaufania między siostrami, że się wzajemnie kontrolujecie? Na przykład jest zeszyt wejść i wyjść, w którym się zapisuje moment wyjścia z klasztoru i powrotu do niego. Przecież wy jesteście dorosłymi kobietami...

U nas nie ma żadnego zeszytu. Wychodząc z domu, mówimy o tym siostrze, która jest na furcie. Poza tym zeszyt to nie kwestia braku zaufania i narzędzie kontroli, ale kwestia dobrej organizacji. I pewien zwyczaj, który pozwala nam mówić: Jestem do dyspozycji albo mnie nie ma. Czy ja muszę o każde wyjście prosić? Nie.

I jeśli jakaś siostra ma wolne popołudnie, to może sobie iść na spacer?

Oczywiście, że może. Jeśli nie zostawia swojej pracy innym.

U nas jest tak, że na początku roku ustalam wyjścia i wyjazdy z przełożoną i ona wie, gdzie mnie może szukać, kiedy w ciągu tygodnia wyjeżdżam rano i wracam późno. Wydaje mi się to rzeczą naturalną. W rodzinie też się tak robi. A jak jest w innych zgromadzeniach? Tego nie wiem. Niektóre wspólnoty są duże, często po 70 kobiet. Jakoś to trzeba ogarnąć.

Znam też mniejsze wspólnoty.

To prawda. Im mniejsza wspólnota, tym relacje powinny być lepsze, bliższe. Ale bywa różnie. Wiele zależy od przełożonej. Niektóre sobie świetnie radzą, inne kontrolują.

Na przykład korespondencję?

Zwyczaj kontrolowania korespondencji obowiązywał do czasów Soboru Watykańskiego II. W naszym zgromadzeniu zniosła to kapituła z 1970 roku.

A w innych zgromadzeniach?

Wydaje mi się, że w niektórych zgromadzeniach w okresie formacyjnym jeszcze się to praktykuje. Ale ilekroć mam okazję, to tłumaczę, że w świetle prawa cywilnego jest to karalne, bo narusza intymność człowieka.

I jest przejawem braku zaufania.

Nie wiem, czy to wynik braku zaufania. Ma, a raczej miało to może zapewnić siostronom pewne oderwanie od świata, odpowiednie warunki do rozwoju duchowego.

Skoro jesteśmy przy życiu duchowym, to porozmawiajmy o modlitwie. Ile się modli zakonnica?

W moim zgromadzeniu mamy statutowo, czyli w konstytucjach, zagwarantowane ponad trzy godziny modlitwy dziennie. Jest to modlitwa wspólna i indywidualna, w tym msza święta i liturgia godzin.

To dużo, czy mało?

Wydaje mi się, że w sam raz. Zaczynamy razem dzień od modlitwy i kończymy modlitwą. Jednym z elementów formacji jest wychowanie do osobistej odpowiedzialności za modlitwę i rozumienie jej znaczenia w życiu zakonnym. Nasza Założycielka podkreślała, że modlitwa to nie tylko odmawianie modlitw i nabożeństw, ale troska o to, aby całe życie stawało się modlitwą, aby, idąc śladami wskazań Pawłowych, „wszystko było w Panu”. To zadanie niełatwe, ale konieczne, aby nie ulegać pokusie mnożenia, jak dziś z pewnym niepokojem obserwuję, modlitw ustnych i nabożeństw. Czasem, mówiła św. Urszula, „trzeba Pana Boga dla Boga w człowieku opuścić”, ale też wiedzieć, co robić z czasem, który się ma do dyspozycji. Modlitwa osobista to warunek i znak więzi z Bogiem, bez tego życie staje się jałowe.

A czy można nie przyjść na wspólną modlitwę?

Jeżeli są powody.

A jeżeli powodem jest to, że ktoś jest zmęczony i nie ma siły wstać?

To po prostu nie przychodzi. I modli się później. Przede wszystkim ważna jest wierność modlitwie indywidualnej, ale także wspólnotowej. Ja, ze względu na chorobę serca, na poranną medytację nie chodzę.

Ale siostra nie jest szeregową siostrą. Zwykła siostra pewnie będzie miała z tego powodu jakieś nieprzyjemności.

Niekoniecznie, pod warunkiem że w ciągu dnia znajdzie czas na modlitwę. Bo czym innym jest nie przyjść na wspólną modlitwę, a czym innym jest w ogóle z niej zrezygnować. To, że kogoś nie ma na wspólnej modlitwie, nie oznacza wcale, że się nie modli.

Zakon to nie tylko życie duchowe, ale też praca. Niektórzy mówią, że siostry są współczesnymi niewolnicami.

Takie gadanie to mnie do pasji doprowadza. Bo chciałabym zapytać, czyimi niewolnicami? Klasztoru? Przecież wszystkie przyszłyśmy tu z dobrej woli, złożyłyśmy śluby w sposób dobrowolny, świadomy i bez przymusu. Miałyśmy przynajmniej osiem, dziewięć lat formacji, żeby się przymierzyć do takiego stylu życia. I jednak ogromna większość siostr zostaje. Więc nawet jeśli przyszła dwudziestolatka, to wychodząc, miała już 29 lat, czyli wiek, kiedy przeciętna normalna kobieta ma już najczęściej pracę, dom, rodzinę i musi dźwigać ciężary nie tylko swoje, ale i cudze. Nie można patrzeć na siostry w klasztorach jak na osoby, które zostały tam wciągnięte, zamknięte i przykute łańcuchami do ściany. To po pierwsze. Po drugie, ślub posłuszeństwa nie jest niewolnictwem. To ja chcę podporządkować moje życie Panu Bogu poprzez ręce ludzi. Oczywiście mogę trafić dobrze i mieć dobrych i mądrych przełożonych. Mogę mieć też tych przełożonych gorszych, podejrzliwych i ciągle tropiących. Ale i to może być jakąś okazją do wzrastania w dojrzałości.

I co wtedy? Jak sobie ułożyć życie z taką tropiącą przełożoną?

My mamy swoje wewnętrzne mechanizmy. Nad przełożoną lokalną jest przełożona wyższa, do której po prostu można się odwołać i uczciwie powiedzieć o swoich problemach.

No ale wróćmy do mojego pytania. Czy siostry są przepracowane?

Często tak. Mamy taką ambicję, żeby prowadzić wszystko to, co nam się udało odzyskać po 1989 roku. Chcemy prowadzić to jak najlepiej. Brak powołań sprawia, że nie jest to łatwe. Oczywiście współpracujemy ze świeckimi. To też ma swój urok i swoje znaczenie i pewnie dobrze, że tak jest, w wielu aspektach. Ale trzeba sobie też zadać pytanie, do jakiego stopnia świeccy mogą zastąpić siostry. Bo jeżeli w przedszkolu dla czteroklasowej grupy jedyną zakonnicą jest dyrektorka, to czy jeszcze można powiedzieć, że to jest przedszkole siostr urszulanek? I dlatego, żeby to wszystko jakoś szło, żeby stawić czoło wszystkim zadaniom, żeby nasze domy nie zarosły brudem, bo już nie mówię o jedzeniu czy praniu – tej pracy się mnoży. I to oznacza, że niektóre siostry muszą wziąć na siebie więcej.

Chciałabym jeszcze nawiązać do książki Marty Abramowicz, o której już siostra

wspominała: Dlaczego zakonnice odchodzą z zakonu? I to po cichu...

Każde odejście to bardzo delikatna sprawa. I siostry nie potrzebują na ogół rozgłosu jak niektórzy eksksieża brylujący w mediach i robiący ze swojego odejścia jakieś nadzwyczajne wydarzenie. Z wieloma siostrami, które odeszły, mamy kontakt, niektórym pomagamy. Czasami szukamy dla nich mieszkania i pracy.

Książka pani Abramowicz skłoniła nas do tego, by spojrzeć na siostry, które odeszły, z większą uwagą i empatią. I na przyczyny tego zjawiska, jakby od wewnątrz naszych wspólnot. Zapytałyśmy między innymi o to, czy siostry odchodziły dlatego, że zgromadzenie uznało, że powinny odejść, czy odchodziły z własnej inicjatywy. I doszłyśmy do bardzo ciekawych wniosków: na dwóch pierwszych etapach formacji, czyli postulatu i nowicjatu, więcej sióstr odchodzi z własnej inicjatywy. To dla nas wielki znak zapytania: Dlaczego? Czego nie znalazły we wspólnotach? Co sprawiło, że po pierwszym, drugim czy na początku trzeciego etapu, czyli ślubów wieczystych, odeszły?

Może odezwał się w nich instynkt macierzyński? Potrzeba bliskości drugiej osoby?

Powodów jest wiele. Na pewno też takie, że nie znalazły w naszych wspólnotach tego, czego szukały. To rodzi następne pytania: Czy nasze wspólnoty są naprawdę ewangeliczne, czy przychodzące do nich kobiety odnajdują w nich miłość Chrystusa, warunki do życia powołaniem, czy nasz stosunek do nich, do tego, jakie są, jest wyrazem miłości miłosiernej, czy się cieszymy nimi w tym sensie, że oto są nowi ludzie, którzy przesłanie o miłości Bożej poniosą naprzód, czy też wyłącznie myślimy o tym, kto umie sprzątać i czy dobrze to robi? Nie jest to tylko nasz problem. Myślę, że i w zakonach męskich pojawiają się takie pytania, choć szczegóły mogą być inne. W styczniu bieżącego roku we Włoszech ukazał się bardzo dobry dokument zatytułowany *Per vino nuovo otri nuovi*, czyli *Nowe wino w nowych bukłakach*, przygotowany przez Kongregację do spraw Życia Konsekwowanego, w którym znalazły się dane na temat odejść z zakonów.

Autorzy twierdzą, że podstawowymi przyczynami odejść – i to dotyczy nie tylko zakonów żeńskich, ale też męskich – są po pierwsze problemy z wiarą, po drugie przełożeni, którzy nie potrafią towarzyszyć i służyć, po trzecie klimat wspólnoty.

Przełożeni? Są za bardzo wymagający, rygorystyczni, opresyjni?

Może nie zawsze potrafią sprostać temu, do czego zostali wybrani. Ich rolą powinno być uważne towarzyszenie, z miłością i z cierpliwością.

Ekksiostry, które zabrały głos w książce, miały wierzyć w to, że przez matkę przełożoną przemawia Pan Bóg.

W jakimś sensie przemawia, tylko najgorzej, jeśli matka przełożona w to bezkrytycznie wierzy.

Czy siostra potrafi powiedzieć, ile sióstr odchodzi?

Jeśli dobrze pamiętam, to w ciągu ostatnich piętnastu lat w Polsce odeszło trzy i pół tysiąca sióstr, w tym około 1400 po ślubach wieczystych. To bardzo dużo. Podobnie jest w innych krajach.

Odejścia są związane z jakimś osobistym kryzysem. Czasami z nałogiem. Czy zakonnica ma szansę na jakąś terapię?

Szansę i zachętę ze strony zgromadzenia na pewno ma. Problemem jest to, że za późno się orientujemy, że któraś z sióstr jest uzależniona od alkoholu czy leków. Dlatego też i konkretna pomoc jest dużo trudniejsza. Z drugiej strony w Polsce tak naprawdę nie ma ośrodka fachowej pomocy dla zakonnicek. Próbowaliśmy przed laty zorganizować coś takiego, ale kiedy dom był prawie gotowy, to się okazało, że nie ma tam kogo wysłać. Czy dużo jest tego rodzaju spraw, nie wiem, ale na pewno się takie zdarzają. Natomiast jeśli chodzi o inne kryzysy, zawsze staramy się jakoś pomóc, choć nie zawsze ta pomoc przynosi pożądany skutek. Wiele sióstr, jeśli tylko chcą, korzysta z psychoterapii i różnych form pomocy duchowej.

Słyszałam o siostrze, która jest uzależniona od alkoholu, a wspólnota, zamiast jej pomóc, wysłała ją do pracy za granicę. Dziewczyna nie zna języka.

I może jeszcze do Włoch, gdzie będzie dostawała do posiłków wino?

Nie, do Anglii.

To chyba nie najlepszy pomysł.

Wracamy do problemu przełożonych. Powiem najpierw, że coraz trudniej o ludzi, którzy chcieliby podjąć obowiązek przełożenstwa, bo to naprawdę niełatwe zadanie. Często podejmują to niejako w biegu, bo nie ma szkół dla przełożonych (choć są możliwości formacji już po otrzymaniu zadania). Niektórzy zaczynają niemal po omacku, a ponieważ życie przekazuje się życiem, odwołujemy się niejednokrotnie do znanych wzorców z przeszłości – nie zawsze najlepszych, powtarzając czasem błędy tych, których krytykowaaliśmy. Formacja przełożonych w duchu współczesnej teologii życia

konsekrowanego jest zadaniem priorytetowym.

Czy trudno w dzisiejszych czasach być zakonnica?

I tak, i nie. Ale myślę, że należałoby o to zapytać młodsze siostry. Oczywiście, ja już jestem w takim wieku, że nie bardzo sobie wyobrażam inne życie. Może warto powiedzieć, że nasze życie, jak każde, bywa trudne, i to pewnie dobrze. Trudności i kryzysy mają swój głęboki sens, pozwalają, jeśli się dobrze je przeżyje, szybciej dojrzewać. Czasami, gdy człowiek sam nie daje rady, trzeba poprosić o pomoc. Odnosi się to także do trudności w pracy, szczególnie na zewnątrz.

Jaka jest przyszłość zakonów żeńskich w Polsce?

Nie wiem. Jeżeli nie odwróci się tendencja powołaniowa, to widzę to pesymistycznie. Myślę, że jeszcze dziesięć, piętnaście lat i trudno będzie zobaczyć młodą zakonnica na ulicach. Jeśli natomiast w nas samych Duch Święty coś poruszy, to przyszłość może być piękna. Wydaje mi się, że jednym z takich elementów, które mogłyby zdecydować o zmianie, jest powrót do początków, do tej dynamiki, odwagi i szerokiego serca, jakie mieli nasi założyciele. Papież powtarza zawsze to, co w gruncie rzeczy wszyscy czujemy, że zadaniem zakonów dzisiaj nie jest powielanie opieki społecznej na różnych płaszczyznach, tylko poziom ewangelicznego życia i pójście na peryferia istnienia. Wiele kobiet, które wstępują dziś do zakonu, ma właśnie takie pragnienie, żeby służyć najbardziej potrzebującym. I co znajdują? Przedszkole, szkołę, katechezę, zakrystię.

Czy siostra kiedykolwiek żałowała, że wybrała taki kawałek chleba?

„Żałowała” to złe słowo. Przeszłam przez kryzysy, ale dziękuję za nie Panu Bogu. Bolały, ale pomogły coś więcej zrozumieć o sobie samej i moich relacjach. Ale ostry kryzys miałam właściwie tylko jeden. Wtedy zaszantażowałam Pana Boga i powiedziałam: Albo coś z tym zrobisz, albo ja sobie idę.

I...?

Jak pani widzi, do dziś jestem siostrą zakonną.

Czy zakonnica musi być szczęśliwa?

Powinna. Co wcale nie oznacza, że musi chodzić z uśmiechem od ucha do ucha. Dla mnie szczęście to jest poczucie tego, że moje życie nie poszło na marne, że starałam się je przeżyć dobrze i owocnie. Czasami, gdy nadchodzi mnie chandra, to się zastanawiam, co by było,

gdybym inaczej pokierowała moim życiem. I zawsze dochodzę do wniosku, że wiele bym straciła, że nie miałabym możliwości zrobienia i poznania tego, co mogłam zrobić i poznać w klasztorze. Może jestem naiwna, ale wydaje mi się, że wiele zależy od tego, jak się definiuje to szczęśliwe i udane życie. Bo jeżeli się chce, żeby to wszystko było zawsze na różowo, to nie będzie.

Jolanta Olech – urszulanka szara, z wykształcenia socjolog, pracowała w domach zgromadzenia we Włoszech, w Skandynawii i w Polsce. Przez wiele lat była w zarządzie generalnym zgromadzenia. Była konsultorką kongregacji ds. instytutów życia konsekrowanego; przewodniczącą Konferencji Przełożonych Wyższych Żeńskich Zgromadzeń Zakonnych w Polsce, a dziś – sekretarką generalną tej Konferencji. Mieszka w Warszawie.